Nr. 4. Lwów, dnia 4. marca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Lwów, pl. Marjacki 6.

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

KLEMENS JUNOSZA.

BOHATEROWIE.

(Z opowiadania pana J. B. Ratafii).*)

Dzielny to człowiek pan I. B. Ratafia; chociaż uskarża się na brak zdrowia, jest jednak niezmordowany; aczkolwiek żali się na złe czasy, ma pieniądze; pomimo, że marzy o odpoczynku i wycofaniu się z czynnego życia, rzuca się jednak w coraz nowy odmęt geszeftów i spekulacyj.

Taki już gorączkowy, nerwowy temperament, taka natura ruchliwa...

Jest to jegomość korpulentny, nizki, barczysty, o twarzy pełnej, jakby nalanej, pokrytej prawie całkiem płowym, krótkim szczotkowatym zarostem, z którego wychylają się tylko grube wargi, potężny nos, wielkie oczy pod silnie zarysowanemi brwiami i kawałek czoła.

Ubiera się do pewnego stopnia po europejsku, ale jest jeszcze pod tym względem w stanie przejściowym, to znaczy: że z długich butów, chałatu i jedwabnej czapki już wyszedł, ale do marynarki, a tem więcej do fraka jeszcze nie doszedł: wybrał drogę pośrednią i przywdział na się coś w rodzaju angielskiego surduta, krótszego niż kapota, dłuższego od żakiety.

Na głowie nosi melonik, czasami kapelusz cylindrowy wysoki, dawniejszego fasonu, kamizelkę jedwabną, na niej gruby łańcuch od zegarka; używa binokli w oprawie złoconej, na cienkim pozłacanym łańcuszku; w gorsie od koszuli ma spinki ze sztucznych brylantów, w krawacie szpilkę z kociem okiem wielkości laskowego orzecha. Mankietów używa rzadko kiedy, rękawiczek nigdy, może dla tego, żeby nie zasłaniały pierścieni na palcach. Z parasolem nie rozstaje się nawet podczas najpiękniejszej pogody, gdyż wtedy zasłania się nim od słońca, chroniąc tym sposobem od opalenia śniade swe z natury oblicze.

Kiedy w godzinach poobiednich siedzi w Saskim ogrodzie na ławce, ospały, apatyczny, nawpół drzemiący, z rękoma wspartemi na rączce parasola i brodą wspartą na ręku, lub kiedy przechadza się po alejach krokiem ociężałym, powolnym, ledwie wlokąc nogi — niktby nie pomyślał, że w tej bryle tłuszczu i mięsa mieści się taka masa ruchliwości i energii.

Tak to i Wezuwiusz, naprzykład; góra jak tysiące innych, niezgrabna, wielka, dymi leniwie, ale niechno przyjdzie moment wybuchu!... Tak i lokomotywa, oczekująca na stacji kolejo-

*) Przedrukowując ten ustęp znakomitego ś. p. pisarza, przypominamy, że właśnie w Warszawie wychodzi zbiorowe wydanie jego dzieł, które znaleść powinne jak najliczniejszych czytelników.

wej, stoi w miejscu, nieruchoma, także trochę dymi — ale niechno maszynista przyjdzie i przyłoży drążek, a ziemia zadrży pod nią!

Było raz takie zdarzenie, że kiedy pan I. B. Ratafia używał wywczasu w Saskim ogrodzie, kiedy siedział nieruchomo jak sfinks, zbliżył się do niego młodzieniec w popielatej marynarce, w wiedeńskim kapelusiku na głowie, i szepnął mu do ucha:

— Icie Beryl! — wówczas otyły mąż zerwał się z ławki, jak oparzony, i pobiegł aleją ku Żelaznej Bramie, z takim pośpiechem, z taką furją nadzwyczajną, że przechodnie ustępowali z drogi z daleka i oglądali się za nim, w mnie maniu, że pożar gdzieś wybuchnął, lub coś nad zwyczajnego się stało...

Młodzieniec zakochany nie biegnie tak szybko na powitanie narzeczonej, jak pędził otyły pan I. B. Ratafia. I po co? Z jakiego powodu? Podobno trafiała się okazja kupienia tanio frachtu kolejowego na kilka wagonów cegły. Fracht ów obudził uspione chwilowo nerwy, dodał energii muskułom, poruszył sprężyny woli i puścił w szalony ruch maszynerję ociężałego organizmu, który, jakby się zdawać mogło z pozoru, tylko spoczynku potrzebował i wymagał...

Podziwiałem często tę energię i raz w rozmowie poufnej, wyraziłem zdanie, że w latach swojej młodości pana Ratafia był na pewno, jak zapałka.

Wzruszył ramionami pogardliwie.

— Co to zapałka! — rzekł: — ja byłem wagon zapałek, cysterna nafty, dół niegaszonego wapna, sto bel zagrzanej bawełny — kopalnia siarki! Ja byłem... ja sam nie wiem, jak nazwać... ja byłem fajer!

— Zapewne w tym to czasie szanowny pan zakochał się i ożenił...

— Co to ma za związek jedno z drugiem? Właśnie ja do ożenienia się byłem taki gorący, jak... dobre piwo bawarskie prosto z lodu.. Ja robiłem dużo kombinacji! Może siedmnaście, może dwadzieścia siedm, może więcej. Już nie pamiętam. Naradzałem się z ojcem, z matką, z całą familią. Ze wszystkich spekulacji, jakie człowiek może praktykować na świecie najbardziej ryzykowna jest... ożenienie się... Ojcowie radziby wydawać córki za mąż... na kredyt, a każdy młody człowiek lubi przedewszystkiem gotowiznę, potrzebuje gotowizny i wymaga gotowizny, jeżeli nie jest warjat, lub niech to pana nie obrazi, jeżeli nie chce naśladować poetów, jak się u państwa najczęściej praktykuje. Ja nie powiem, żem nie był gwałtowny; owszem, stawałem się zapałką przy układach, wybuchałem siarką i smołą — i, wiesz pan to się bardzo podobało ojcu obecnej mojej żony... On się uśmiechał, on się cieszył, on widział, że ma do czynienia z młodym człowiekiem energicznym, solidnym, umiejącym cenić wartość grosza; widział, że takiemu właśnie można po wierzyć posag i córkę... Szczerze panu mówię: on był wzruszony ten stary; przyrzekł dać sto pięćdziesiąt rubli więcej posagu, niż obiecywał z początku, a kiedy już akt zaręczyn był podpisany, chwalił się przed znajomymi, że znalazł nie zięcia, ale kawałek złota, kosztowną perłę, brylant. On się nie mylił, daję słowo! To był człowiek rozumny. Po jego śmierci nie zostało wprawdzie tyle pieniędzy, ile mogłoby zostać, ale pomimo tego, muszę mu przyznać, że nie był głupi. Owszem, otwarta głowa, bystre oko, ryzykowna dusza. Jakie on interesa robił, z jakich ambarasów wychodził, a jak się znał na kodeksie! Lepiej, niż trzech adwokatów! Ja sam niejednej rzeczy nauczyłem się od niego.

Z panem Ratafią spotykaliśmy się niejedno krotnie, czasem w ogrodzie, czasem w cukierni, dokąd przychodził, aby napić się czarnej kawy, przeczytać gazety, pogawędzić, lub zagrać w szachy i wypalić.

Najulubieńszemi przez niego dziennikami były: „Schlesische Zeitung“ i „Berliner Börsen Courrier,“ chociaż przyznawał także pewną wartość i „Gazecie Handlowej.“ Inne pisma warszawskie czytywał czasem, ale niechętnie; na niektóre nie mógł nawet patrzeć.

Cygara palił pruskie i opowiadał cuda o ich wysokich zaletach, choć przykry, gryzący dym wymownie przeciw tym pochwałom protestował. W szachy grywał chętnie, a zapalał się przytem; wygrana, zwłaszcza z poważniejszym przeciwnikiem, napełniała go dumą — przegrana psuła mu humor na parę dni, odbierała sen i apetyt.

Najszczęśliwszym się czuł, gdy miał do czynienia ze słabszym, początkującym graczem; wówczas od samego początku partji twarz jego przybierała wyraz tryumfu.

— Ja panu co powiem — mawiał do przeciwnika: — pan będziesz zmiażdżony... każ się pan zaasekurować od przegranej, jeżeli znajdziesz tak ryzykownego agenta. Pan pisz te-

stament. Pan każ temu, kto pana uczył grać w szachy, niech panu zwróci pieniądze. Pan idź spać!

W trakcie gry nucił wyjątki z operetek, lub też improwizował krakowiaczki w tym rodzaju:

„Jedzie Jaś na koniu,
Ma białą sukmankę.
Ja mu biorę konia lauferkiem:
On przegrał czarnej kawy filiżankę!"

Albo:

„Na zielonym dębie
Śpiewa młoda wrona;
Ja panu co powiem:
Pan straciłeś piona."

. . . .

„Kasia list od Jasia
Schowała do kufra.
Pan zrobiłeś głupstwo,
Ja wziąłem laufra."

. . . .

Takie okolicznościowe piosenki tworzył p. I. B. Ratafia, stosownie do okoliczności, i pysząc się swoją zdolnością rymotwórczą, powtarzał je aż do znudzenia, i może tym właśnie sposobem pobijał przeciwnika o słabszych nerwach, nie mogącego znieść takiej monotonii.

— Wiesz pan dobrodziej, — mawiał nieraz — ja dość długo nie wiedziałem, że mam dar do poezji. Wpadłem na to odkrycie przypadkiem, całkiem niespodziewanie. Byłem w pewnym kantorze, aby wymienić sto marek na ruble... Właściciel kantoru był czegoś bardzo zły, zapewne miał jakieś niepowodzenie. Zbliża się do niego buchalter i prosi, żeby mógł wyjść na chwilę do domu, „ponieważ mu żona zasłabła" — a ten pryncypał odpowiada mu krótko: „A idź pan sobie do djabła!" Mnie się bardzo podobała taka poezja, i pomyślałem, że ja również taką sztukę potrafię. Dlaczego nie?... przecież jestem człowiek zdolny, mam głowę na karku, i w mojej rodzinie nigdy nie brakowało ludzi myślących. Zacząłem próbować, dobierałem takie wyrazy, które pasują do siebie

— I jakże się panu wiodło? — zapytałem.

— Krótko powiem: po kilku tygodniach potrafiłem robić szarady, a jak pan wiesz, moje krakowiaczki szachowe powtarza cała Warszawa, tyle w nich jest wesołości i prawdziwego dowcipu. Dobrze jest mieć taki talent... zdaje mi się, że to się tak nazywa: talent... Prawda, panie?

— Tak.

— Można się samemu rozweselić i kogo rozweselić, i choć to głupstwo, prawdę powiedziawszy, ale i kawałek przyjemności. A kto nie lubi przyjemności, jeżeli ta nic nie kosztuje?

Czasami pan Ratafia znikał z Warszawy; nie było go widać tydzień, niekiedy dwa lub trzy, aż nareszcie zjawił się znowu w Saskim ogrodzie lub w cukierni, opowiadał, że stęsknił się do swoich ulubionych zakątków, do czarnej kawy, do gazet, do partji szachów. W podróży człowiek jest pozbawiony wielu uciech życia, musi cierpieć niewygody, żywić się licho, znosić zimno i utrzęsienie — ale, jeżeli tego wymaga interes, jeżeli można coś zarobić, to trudno — trzeba się poświęcić. Niejednokrotnie usiłowałem dowiedzieć się, jaki mianowicie interes jest głównem zajęciem pana I. B. Ratafii, ale na próżno; odpowiedzi były zawsze jednakowo ogólne, wymijające...

— Interes, który ja prowadzę — mówił — składa się z wielu różnorodnych interesów.

— Tak, jak bukiet z kwiatów — wtrąciłem.

— Naturalnie. Stąd kwiatek, stamtąd kwiatek... Dziesięć, pietnaście, trzydzieści, sto kwiatów, a bukiet jest jeden. Trzeba tylko zdatnego majstra, aby go ułożył i związał. Że ja jestem majster, nie potrzebuję się chwalić: cała Warszawa wie o tem; że wolę załatwiać cudze interesa na cudze ryzyko, aniżeli własne i na własne ryzyko — to może panu powiedzieć nawet mój pięcioletni synek. Stąd trochę, stamtąd trochę — oto cała filozofia .. komisjonerstwo... pośrednictwo, to jest wyręczycielstwo, zastępstwo, oddanie komuś przysługi. Można nazywać tak i tak — jak się komu podoba. Dość, że się z tego mieszka, żywi, utrzymuje rodzinę, edukuje dzieci...

Przy tych ostatnich słowach pan Ratafia wzruszył ramionami, a na jego grubych wargach osiadł pogardliwy uśmiech.

— Edukuje się dzieci — powtórzył: — po co? Albo ja wiem; wszyscy edukują, moda taka nastała, i ja też robię to samo.

— Nie uznajesz pan pożytku i znaczenia oświaty?...

— Jaki pożytek? jakie znaczenie?

— Czyż trzeba dowodzić?

— Wcale nie trzeba. Bez dowodzenia ja wiem, że to trzech groszy nie warto.

— Zagalopowałeś się pan, szanowny panie Ratafia.

— Przepraszam. Moi rodzice byli staromodni ludzie i kazali mnie uczyć w chederku, później

chodziłem przez rok do szkółki; nauczyłem się czytać i pisać; rachować potrafiłem odrazu, bez nauki. Później praktykowałem w sklepie na Franciszkańskiej, w kantorze na Nalewkach, byłem pisarzem u jednego bogatego kupca, który rozmaite duże interesa prowadził. Przez ten czas nauczyłem się wszystkiego, co mi było potrzeba — i widzi pan, dzisiaj jestem człowiek wykształcony, mogę o wszystkiem mówić, czytuję niemieckie gazety, byłem raz w Berlinie, dwa razy w Gdańsku, jeden raz przez półtora miesiąca w Marjenbadzie na kuracji, znam świat, znam interesa, ludzi, i cała Warszawa mówi że I. B. Ratafia jest światowy, elegancki i grubo wykształcony człowiek. Chyba pan o tem coś słyszał?...

— Naturalnie ..

— Taka była moja edukacja!... Ja jestem człowiek dzisiejszy, nowomodny; ja nie trzymam się starych zabobonów, nie noszę staroświeckiej garderoby, czasem trafi mi się, kiedy jestem w podróży, zjeść obiad w restauracji... w ogóle jestem człowiek cywilizowany, więc i edukacja moich dzieci musi być także nowomodna. Ja oddałem obudwóch moich synów do publicznej szkoły. Mnie doradzili, żeby z nich zrobić klasyków. Co mi to szkodzi? — pomyślałem: — niech synowie moi uklasycznią się; pomimo tego, jeżeli będą mieli pieniądze i szczęście do handlu — nie zginą. Oddałem ich do szkół.

— Bardzo dobrze pan uczyniłeś.

Pan Ratafia skrzywił się, jak gdyby po wypiciu łyżki octu.

— Dobrze, zapewne musi być dobrze, skoro tak wszyscy robią; tylko pytam się: jaką korzyść mają z tego moi synowie?

— Zabawny z pana człowiek!... przecież wykształcenie...

— Ślicznie; oni się uczą języków umarłych jak gdyby można z umarłymi handlować: oni się uczą tego, co dawno było, zamiast tego, co jest i co ma być; a najgorzej mnie to boli, że oni uczą się różnych bajek o wielkich bohaterach...

— Panie, toż to poezja!

— Nie trzeba głowy zawracać! Co to za bohaterowie?! Jacy oni bohaterowie?! Że wojowali, zabijali ludzi, że jeden drugiemu urzynał głowę z przyczyny jakiej kobiety, albo że leciał na pewną śmierć...

— To właśnie bohaterstwo, poświęcenie się dla idei.

— Lecieć na pewną śmierć to ma być bohaterstwo? Nie jeden warjat to samo potrafi.

— A jednak to byli bohaterowie, których imiona uwieczniły się w dziejach ludzkości.

— Dużo niesprawiedliwości jest na świecie! Po co i za co było ich uwieczniać? po co zapisywać ich warjackie postępki? — ja tego nie rozumiem. To byli głównie rozbójnicy, którzy lubili pić dużo wina, szaleć za kobietami, robić awantury i wojować, głównie wojować.

— Więc pan nie uznajesz wcale bohaterstwa, nie przypuszczasz, że bywają ludzie wyżsi duchem, sercem i odwagą nad zwykłą miarę człowieczą?

— Dlaczego nie mam uznawać? Ja sam znałem osobiście wielu prawdziwych bohaterów, nie takich awanturników gwałtownych, o jakich piszą w książkach, ale bohaterów w najlepszym gatunku, prima, extra-fain bohaterów... Dlaczego o takich nie piszą, dlaczego ich nie przedstawiają za przykład?

— Gdzieżeś pan w naszym zmaterjalizowanym wieku, tych nadzwyczajnych ludzi spotykał?

— Gdzie? Zabawne pytanie! Myślisz pan, że może w Grecji, albo w Rzymie, albo w tych miejscach, o których muszą się uczyć moje dzieci?... Ja ich spotykałem tu w Warszawie, czasem w Saskim ogrodzie, czasem w Krasińskim, przed Bankiem, za Żelazną Bramą, na Żabiej, na Krochmalnej, na Gnojnej, koło Gościnnego Dworu, na Nalewkach. Nie sposób, żebym panu wyliczał wszystkie ulice warszawskie, na których można ich widzieć i spotykać codzień.

— Szczególna rzecz, że nikt prócz pana nie widział...

— Bardzo zwyczajna. Do dobrego widzenia trzeba mieć dobre oko, a panowie macie oczy trochę popsute na książkach. Niedawno mój starszy synek uczył się o Herkulesie. Cóż on takiego zrobił?... Warjat był, awanturnik, zbójca. Czyścił stajnię, jak zwyczajny parobek, dużo jadł, zapewne jeszcze więcej pił i zmarnował się przez kobietę. Ona zabrała jego czapkę, a na głowę włożyła mu swój czepek. Ładne bohaterstwo! wielki honor! Jest się o czem uczyć!

— Ale pokażże mi pan swoich bohaterów.

— Owszem, dlaczego nie?... Trochę cierpliwości... Nie żądaj pan, żebym wymieniał nazwiska: moi bohaterowie nie są łakomi na rozgłos... Oni wolą, żeby świat o nich nie wiedział.

— Czy odznaczyli się na polu bitew?!

— I tacy byli. Podróżowali po Bulgarji, po Rumunii, dostarczali prowiant, furaż, szampańskie wino, cygara... Sądzisz pan, że to bezpieczny interes?... Kule latały jak muchy, wprawdzie bardzo zdaleka, ale latały; strach był zawsze blizko. Sądzisz pan, że to mała rzecz prowadzić transport przez niepewne drogi, gdzie łatwiej można spotkać dziesięciu baszybużuków, niż jednego stójkowego, gdzie można mieć na każdym kroku nieprzyjemność, przykrość, awanturę, stratę, na towarze i na zdrowiu? Byli i tacy, ale ja nie o nich myślałem. Nie codzień bywa wojna i nie codzień jest okazja, do takiego bohaterskiego interesu. Mam na myśli zwyczajne, spokojne czasy, takie jak wczoraj, jak dziś.

— Czyż dają one sposobność...

— Dlaczego nie? Sposobność codzień się trafia, bo niema takiej godziny, w którejby nie można ryzykować i albo zarobić, albo stracić. Panie, wojna robi się podobno, bo ja tego dzięki Bogu nie praktykowałem, na jednem dużem polu, na placu... Spekulacja, choćby największa, może być zrobiona w najmniejszej stancji, przy stoliku w cukierni, w bramie przechodniego domu, na ulicy, na ławce w ogrodzie. Dwa, trzy słowa, trocha pieniędzy, dużo odwagi, ryzyka, i już... wygrał, przegrał, ale interes gotów na poczekaniu. W tym świecie są moi bohaterowie, tu się robi historja; więc powiem: tu się robią nadzwyczajne historje. Pan nie masz pojęcia i nie możesz mieć pojęcia o tem; pański umysł tego nie zrozumie i nie obejmie.

— Ale dajże pan jaki przykład!

— Dlaczego nie żądasz pan dwóch tysięcy przykładów?... Jabym mógł dać cztery tysiące, pięć... i niedalekobym szukał.

— Może z własnego życia?

— A co pan myślisz?... Moje życie to także życie; były w niem różne chwile, nieraz trzeba było mieć dużo odwagi, dużo śmiałości, dużo ryzyka. Wszystko to się znajdowało w potrzebie, bo musiało się znaleść. Ale ja chwalić się nie lubię, nie będę więc panu opowiadał tego, com sam przechodził, tylko dam parę przykładów...

— Bardzo proszę.

— Może pan śmiać się będzie, ale to rzecz nie do śmiechu. Naprzykład, patrz pan na tego handlarza... Jak się panu zdaje, co to za osoba?

— Sam pan powiedziałeś: handlarz.

— No, tak, handlarz, biedny człowiek, kapcan, łapserdak. Cały jego majątek może wart jest piętnaście rubli, a może nie; prędzej nie wart, niż wart — a przecież to bohater!

— Czy tak?

— W gorszym gatunku, ale bohater... Powiadają, że djabeł jest tak silny, że gdy weźmie kamień w łapę, to wodę z niego wyciśnie — ten handlarz jest silniejszy od djabła, bo on z powietrza potrafi wycisnąć pieniądze, ze starej kamizelki bochenek chleba... On wychodzi rano na miasto z dwoma rublami w kieszeni, a wieczorem przynosi trzy... Skąd on je bierze? Z powietrza, z targowania się, z biegania po podwórkach, z krzyku — jednem słowem: z bohaterstwa... On potrafi utrzymać z niczego żonę i siedmioro albo ośmioro dzieci, potrafi je po swojemu wyedukować, pożenić, wydać za mąż i wyposażyć... No, powiedz pan, czy to nie sztuka, czy nie bohaterstwo?

— Zapewne.

— Czasem pada deszcz, czasem jest mróz, czasem błoto i zawierucha. Czy myślisz pan dobrodziej, że on się tego boi? — On się wcale nie boi — a dlaczego on się nie boi? — bo jest bohater. A może pan kiedy widział na targu takich bladych brodaczów, z których każdy opasany jest postronkiem?

— Widziałem.

— To są, panie, nasze Herkulesy. Taki potrafi wziąć na plecy pół wołu, największą pakę z towarem, ogromną szafę. On dźwiga ciężary przez cały dzień, przez cały tydzień, prócz soboty i świąt, przez całe życie swoje. On nie lubi się upić i nie położy się przy nogach jakiej Fonfalii... zdaje mi się, że ona się tak nazywała?

— Podobnie.

— On nie położy się przy jej nogach, jak za przeproszeniem, pies — ale idzie on wieczorem do domu, do swojej Sury lub Ruchli, która handluje cytrynami, do swoich dzieci — zje trochę kartofli, trochę cebuli, kawałeczek śledzia i idzie spać — a od rana znów się przepasuje postronkiem i znów jest Herkules. Czy nie tak, panie?... czy nie prawda?

— Prawda, bez wątpienia...

— Ja opowiedziałem panu dopiero o najniższym gatunku bohaterów... zwyczajnym, ordynarnym.

— Więc są i wyższe gatunki?

— Pan pytasz? Jest ordynarne, grube płótno na worki; jest perkal, weba, batysty, zefiry,

najdelikatniejszy towar jedwabny, są wreszcie koronki... Od workowego płótna do koronek tysiące różnych a różnych gatunków! A wszystko przecież towar łokciowy. Tak samo od handlarza i tragarza do wielkiego finansisty, który obraca milionami i puszcza się na wielkie przedsiębierstwa kolejowe, jest dziesięć tysięcy gatunków pośrednich, a przecież wszyscy ci ludzie są także bohaterami...

— Czy tak?

— Pan się uśmiecha, bo się pan nie zna na interesach; a ja się znam i wiem co mówię. Czy nie uznasz pan bohaterstwa faktora, który gdy go wyrzucą za drzwi, potrafi wejść przez okno, przez komin, przez dziurkę od klucza, a swego zawsze dopnie?... Czy masz pan wyobrażenie, jakie walki musi staczać mały antreprener, nim utrzyma się przy licytacji? Czy pan możesz mieć pojęcie, jakich wstrząśnień doznaje spekulant, grający na giełdzie, jak on się boi, czy inna grupa spekulantów nie podstawi mu nogi, nie obniży kursu, kiedy on właśnie liczył na zwyżkę, nie podniesie, kiedy był pewny, że spadnie?... Kto jedzie dorożką przez Wronią ulicę nie ma tak utrzęsionych wnętrzności, jak utrzęsiona jest dusza spekulanta przez jedną godzinę wyczekiwania przed giełdą. Przyznaj pan dobrodziej, że trzeba mieć bohaterskie zdrowie, żeby takie wstrząśnienia wytrzymać!

— To prawda, kochany panie Ratafia.

— Prawda... święta prawda.. Mój synek uczył się, że Grecy bronili przejścia w górach, własnemi piersiami zastawiali przystęp wrogom, byle ich tylko nie wpuścić. I co na tem wygrali? Zginęli. Weź pan, naprzykład, naszych handlarzy bydła stepowego. Oni stoją silniej, niż dumni Grecy. Im chcą wydrzeć ten handel z rąk: oni walczą, nie dają! I ta jest, proszę pana różnica, że greccy starożytni bohaterowie zostali co do nogi wybici, a nasi bohaterowie od bydła żyją, Bogu dzięki, są zdrowi i jak handlowali wołami, tak handlują i śmieją się z tych, którzy im ten handel chcą z rąk wydrzeć. To się nazywa prawdziwe bohaterstwo, nie takie, o jakiem stoi w książkach...

Zamyślił się pan Ratafia, gładził tłustą ręką szczotkowatą brodę, przymrużał oczy, rozkoszował się własnemi myślami.

— A panie — rzekł po chwili — co pan myślisz o bankrutach?

— Wiesz pan, co ja myślę...

— Wiem: powiesz pan, że bankructwo mądre, z figlem — to jest oszukaństwo!

— No, naturalnie, że nie inaczej.

— Państwo wogóle macie zacofane poglądy. Oszukaństwo?! Nie, panie, to właśnie bohaterstwo: do tego trzeba wielkiej głowy, wielkiej odwagi, wielkiego ryzyka. Trzeba obmyślić, trzeba przeskoczyć przez ogromny dół, w którym jest gromada wierzycieli, sąd, więzienie... Trzeba tak zręcznie przeskoczyć, żeby nie zawadzić, nie trącić... bo jeden ruch fałszywy — to zguba... A przecież są tacy, którzy skaczą i przeskakują. Czy oni nie warci największej pochwały i uznania? Czy z ich życia nie można czerpać nauki, praktyczniejszej, pożyteczniejszej tysiąc razy, niż te bajki, które dzieciom naszym w głowy kładą?

— Sądzę — odrzekłem — że tradycja domowa nie próżnuje w tym razie, że ona także z pokolenia w pokolenie przekazuje chwalebne czyny bohaterów?...

Pan Ratafia nic na to nie odrzekł, uśmiechnął się tylko, machnął ręką i rzekł:

— Wiesz pan dobrodziej co? Ja mam wielką chęć zagrać partję szachów... To przyjemniejsza zabawa, aniżeli przerabianie świata na inne kopyto.

TAJEMNICZA ZBRODNIA.

ROMANS

Eugeniusza Chavette.

(Ciąg dalszy).

Wreszcie Cezar uczynił to, od czego powinien był zacząć, to jest sięgnął do kieszeni kamizelki leżącej na fotelu, i wydobył pudełko, napełnione zapałkami.

Poczem zapaliwszy świecę, rzekł:

— Przedewszystkiem zobaczymy teraz, jakie szkody porobiła ta, co tam śpi, ani przypuszczając, jakiego mi piwa nawarzyła.

Zaczął więc badanie od oględzin drzwi, które stanowiły komunikację między dwoma pokojami.

Pieczęcie, którym się przyjrzał przy blasku świecy, były nietknięte.

— Musiała wejść z drugiej strony — rzekł.

Opuścił pokój i przeszedł mieszkanie, ażeby się dostać do przedpokoju, gdzie się znajdował korytarzyk, prowadzący do pokoju mężowskiego, którego drzwi również zamykały pieczęcie.

— O! do djabła! — zaklął Cezar, przejęty zdumieniem, kiedy zbliżył świecę do klamki.

Z tej strony pieczęcie były również nienaruszone.

Młodzieniec bardzo zamyślony powrócił do swego pokoju

— No, no — mówił do siebie — wczoraj przy obiedzie piłem nieźle, czy czasem jeszcze nie mam w głowie tyle wina, że mi się mąci przytomność i widzę takie rzeczy, które nie istnieją wcale?

Stanął tuż przy przepierzeniu, i starał się zebrać całą przytomność, potem przyłożył ucho.

Oddychanie wciąż dawało się słyszeć.

Jaka myśl przebiegła przez głowę Desormeauxa, gdy stwierdził, że odgłos ten istniał rzeczywiście? wypadki to wyjaśnią później.

Jak na teraz powiemy tylko, że stał przez chwilę osłupiały przed drzwiami, potem zaklął z uśmiechem:

— O! do djabła!...

. . . .

Nazajutrz zbudził go ze snu głos, pełen uszanowania:

— Śniadanie, proszę pana!

To Ignacy wszedł do pokoju z tacą w ręku.

— Która godzina?

— Dwunasta. Ponieważ pan powiedział mi, że o tym czasie ma być zawsze podane śniadanie, ośmieliłem się wejść, używszy drugiego klucza, który pan powierzył mojej uczciwości.

Odźwierny, mówiąc to, ustawiał śniadanie na stoliczku.

Kiedy skończył te przygotowania, skłonił się przed lokatorem, który zaczynał się już ubierać.

— Cieszę się nadzieją — podchwycił — że pan zechce być łaskawym dla mego debiutu kulinarnego.

— A cóż mi przynosisz?... — zapytał młodzieniec, który, kończąc się ubierać, odwrócony tyłem do stołu.

— Tak, jak mi pan rozkazał, mam zaszczyt przynieść herbatę i dwa jajka, bo to panu ma starczyć na śniadanie.

Zaledwie Ignacy skończył to zdanie, gdy Cezar już się obrócił i z miną żdziwioną, zawołał:

— Ja ci to powiedziałem, ja?...

Odźwierny spojrzał nań z gębą otwartą, z niekłamanem żdziwieniem.

— No, odpowiadaj — podchwycił Desormeaux — zamiast głupio wytrzeszczać oczy... Czy ja ci mówiłem, że chcę zawsze mieć na śniadanie tylko jajka i herbatę?

— Tak mi się zdawało, proszę pana, tak mi się zdawało — wybełkotał Ignacy wzruszony.

Potem po pewnej przerwie dodał:

— A nawet...

— A nawet co?... — zapytał młodzieniec tonem oschłym.

— Nawet pan mówił, że obiad zawsze pan jada na mieście.

Tym razem Cezar aż podskoczył ze zdumienia.

Utkwił oczy w odźwiernego, mówiąc tonem surowym.

— Powinieneś mnie był uprzedzić...

— O czem powinienem był mieć zaszczyt uprzedzić pana? — odezwał się Ignacy nieśmiało.

— Że ty sobie niestety podpijasz. Wtedy bym nie tak prędko najął to mieszkanie.

Odźwierny rozpaczliwie uniósł ręce ku niebu, jakby je wzywał na świadectwo tego niesprawiedliwego oskarżenia, ale zanim zaprotestował, lokator powstrzymał go temi słowy:

— No, dosyć, nie powiększaj swej winy. A teraz posłuchaj, ale czy tylko jesteś w stanie mnie zrozumieć?

— Przysięgam panu, na głowę mej Eudoksji, że od rana, wziąłem tylko kąpiel na nogi, bo ostatnie wypadki sprawiły mi uderzenie do głowy.

Cezar jakby się dał przekonać, bo podchwycił głosem już łagodniejszym.

— Otóż przynieś mi na śniadanie konfitur, ciastek i kremu...

— Ależ to jakiś smakosz — pomyślał Ignacy.

— Dziesięć butelek wina, pasztet z drobiu i bochenek czterofuntowy chleba.

— Czterofuntowy! — powtórzył odźwierny, zdumiony tym wzrastającym ogromem jedzenia, gdy lokator przecież go dawniej uprzedził o swym małym apetycie.

— Tak... czterofuntowy i... całą szynkę.

Teraz Ignacy już nie miał czasu okazać przerażenia, bo Desormeaux pokazał mu drzwi, dodając rozkazująco:

— A teraz idź i zrób, co ci kazałem. Później powiem ci, co chcę mieć na obiad.

Dopiero na schodach odźwierny przyszedł do siebie z ogłupienia.

— Byleby tylko także nie zaprzeczał, że mi przyrzekł sto franków miesięcznie!

Kiedy wreszcie wrócił, dźwigając kosz, pełen artykułów spożywczych i butelek, skoro tylko otworzył drzwi, zaraz usłyszał głos pana Desormeauxa.

— No! Jesteś nareszcie... Czy masz szynkę?...

— Wszystko co pan kazał.

— To spiesz się, bo umieram z głodu.

Ignacy ustawił wszystko na stole tak, że zaledwie zostało miejsce na talerz

— Przynajmniej zabawię się trochę patrząc, jak ten smok będzie to pożerał — rzekł do siebie odźwierny, stając przy stole.

Ale Cezar, przy pierwszym kąsku, podniósł głowę i, spojrzawszy nań, rzekł:

— Cóż to? Co ty tu porabiasz, z serwetą w ręku, czy czekasz, ażebym cię zaprosił na śniadanie?

— O! gdzieżbym miał taką nadzieję?... Pragnąłbym tylko panu usłużyć podczas śniadania.

— To chcesz zostać przy mnie przez cały ciąg śniadania?

— Jeżeli pan pozwoli.

— Ani myślę... Ja, widzisz, mój Ignacy, jestem szczery... otóż nic nie mogę jeść, gdy kto na mnie patrzy... więc rozumiesz...

— Tak, rozumiem, że każe mi pan odejść.

— Błagam cię, mój Ignacy... i muszę cię jeszcze uprzedzić, że gdy co zjem, muszę to spokojnie strawić.

— Nie śmiem porównywać siebie z panem, ale i ja mam to przyzwyczajenie.

— Ale ja trawić muszę w zupełnej samotności, ktokolwiekby ją zakłócił, popsułby mi trawienie.... Pojmujesz...

— Więc proszę pana...

— Więc nie przychodź, póki cię sam nie zawołam.

Odźwierny skłonił się pokornie i, wyszedłszy na schody, rzekł do siebie:

— Nie może jeść, kiedy na niego kto patrzy! A cóż mi opowiadał, że jada co wieczór w swym klubie. Czyżby jak on je, inni chowali się pod stół?

Cezar musiał trawić bardzo ciężko, bo do godziny szóstej wieczorem nie dał znaku życia.

— Byleby tylko nie pękł, jak balon, zanadto wydęty — powtarzał odźwierny niespokojnie

Wreszcie ukazał się lokator, elegancko ubrany, i oświadczył, że się rozmyślił i że nie będzie jadł obiadu w domu.

— Ba! po takiem śniadaniu! — pomyślał Ignacy

Poczciwiec przekonany już był, że Desormeaux ma małego bzika, a z pewnością bardziej jeszcze byłby się upewnił, gdyby za lokatorem podążył był na ulicę.

Cezar na środku ulicy zatrzymał się nagle, potem wybuchnął śmiechem, a potem jeszcze poszedł dalej, mrucząc:

— Niech mnie djabli porwą, jeżeli wiem, co mam robić... Ale w każdym razie to zabawne!

Rzecz zbyteczna powiedzieć, że udał się do Cambarta, gdzie miał jeść obiad z Gabrjelą.

Po drodze więc musiał przechodzić przez ogród Palais-Royal. Już się znalazł pośrodku ogrodu, kiedy znowu ta sama myśl, co mu wlazła do głowy, osadziła go na miejscu, a miał tak dziwną minę, że przechodnie na niego się oglądali.

I dobrą chwilę tak już stał, zapatrzony niby w wodotrysku, a nic nie widząc, gdy usłyszał głos pełen śmiechu:

— Jeżeli myślisz nad tem, gdzie mi można suknię kupić, to ci wskażę nawet tani magazyn.

— A! to ty! Krapiszetko? — rzekł młodzieniec, poznając tę, co go zaczepiła.

— Nie chciałeś być razem z nami u Cambarta wczoraj.

I zaczęła opowiadać, jak się bawiono doskonale, ale jej przerwał Cezar, bojąc się spóźnić do Gabrjeli.

— Tak — rzekł — moja dobra Krapiszetko, domyślam się, że bawiliście się dobrze, ale ja nie mogłem przyjść, bo byłem zmęczony.

— Naprawdę?

— Ależ tak.

— A myśmy myślały, żeś zagniewany na Cambarta.

— Zagniewany... a o co?

— Z powodu tego figla, jaki ci wypłatał?

— Figla?

Akcent zdziwienia, brzmiący w słowach młodzieńca, ostrzegł Krapiszetkę, że się niepotrzebnie wygadała, usiłowała więc naprawić to, i tonem żartobliwym dodała:

— A, tak... figla wypłatał ci... ale nie wiem doprawdy jeszcze, jaki to figiel... O! on wszystkich tak potrafi urządzić... na tego słonia nikt nigdy liczyć nie może.

I, ażeby uniknąć dłuższych objaśnień, wyciągnęła doń rączkę drobną i dodała:

— Teraz już cię opuszczam. Nie mogę pozwolić, ażeby Jurassieux na mnie czekał, zwłaszcza, że miał się ze mną spotkać u jubilera.

Poczem, wymknąwszy się młodzieńcowi, który usiłował ją zatrzymać, szybko się oddaliła.

— O! w tem coś jest! — pomyślał Cezar.

Poszedł dalej, ale wkrótce zawrócił i wstąpił do modnego sklepu ogrodniczego.

Tu wybrał jeden z najładniejszych bukietów i kazał go natychmiast zanieść do Gabrjeli, ale zalecił, ażeby nie mówiono, kto go przysłał.

— Ja zaczekam — rzekł do posłańca — zaczekam przy wodotrysku, a jeżeli prędko się sprawisz, dostaniesz luidora za drogę

W dziesięć minut był posłaniec z powrotem.

— Bukiet został oddany — oznajmił – i włożono go do wielkiego wazonu porcelanowego, na kominku w salonie, gdzie jakiś tłusty pan spał na kanapie

— Masz, com ci obiecał — rzekł Desormeaux, płacąc mu.

I znów poszedł drogą, na ulicę Vivienne prowadzącą, a serce biło mu żywiej, teraz bowiem obawiał się, czy przedsięwzięte doświadczenie nie przyprawi go o ruinę złudzeń i miłości.

— Ha! — rzekł do siebie — lepiej zawsze dowiedzieć się prawdy, choćby najprzykrzejszej.. Jeżeli istotnie, czego się lękam, Barantel również konkuruje o Gabrjelę, dłużej nie zgodzę się na taką rolę, jaką mi wyznaczają.. Tak, dzięki bukietowi, dowiem się nareszcie, czego się mam trzymać.

Fortel z bukietem, przesłanym bez wymienienia nazwiska ofiarodawcy, był bardzo prosty.

Jeżeli, zanim Cezar przemówi, już mu dziękować zaczną, będzie to znaczyło, że spodziewano się kwiatów tylko od niego Jeżeli zaś przeciwnie, nikt nic nie powie, to milczenie dowodzić będzie, że kto inny ma takie samo prawo przysyłania bukietów i że czekać będą, ażeby wprzód sam Desormeaux zdradził się, iż to od niego pochodzi ten podarunek.

Jakkolwiek zdecydowany na jakibądź wynik tej próby, zakochany doświadczył jednak pewnego dreszczu, gdy zadzwonił do drzwi mieszkania Cambarta.

Kiedy wszedł do salonu, zobaczył giełdzistę, wyciągniętego na kanapie.

Na odgłos wszakże jego wejścia, tenże podniósł się i, wyciągając się jeszcze, przywitał go temi słowy:

— Obudziłeś mnie, słowo honoru; zdawało mi się, że to noc... czego tak upatrujesz?

— Spodziewałem się, że zastanę pannę Cambart z tobą w salonie.

— A nie... Córka stroi się właśnie na twe przyjęcie Ja zaś, wiedząc, jak długo trwają takie toalety, skorzystałem, ażeby się zdrzemnąć... upadam ze snu.

— Powinieneś dziś wcześnie się położyć.

— Co!... wcześnie się położyć! Za nic w świecie nie chybiłbym wielkiego lancknechta, na który Jurassieux zaprasza nas dziś wieczorem do Krapiszetki

Mówiąc to, wstał z kanapy, ażeby zbliżyć się do gościa, co, stojąc przed kominkiem, utkwił oczy w bukiet, który, jak mu powiedział posłaniec, umieszczony był we wspaniałym wazonie porcelanowym

Kiedy Cambart znalazł się już obok niego, odezwał się głosem nieco zakłopotanym:

— Ładne kwiaty, nieprawdaż?

Potem zatrzymał się, czekając na jakąkolwiek odpowiedź Desormeauxa

A ponieważ ten nie otwierał wcale ust, jak gdyby tak wielce był zajęty przyglądaniem się malowidłom na wazonie, grubas podchwycił:

— Moja córka przepada za kwiatami.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi o tem pierwej? zawołał Cezar, jak gdyby te słowa były dla niego odkryciem.

Wykrzyknik ten podziałał wyraźnie, gdyż odrazu znikł ten niepokój, który przebijał w głosie Cambarta, więc pospieszył dodać:

— Gabrjela tak dalece kocha się w kwiatach, iż nie czeka, aby je kto jej przysyłał w prezencie... Sama sobie kupuje.. jak widzisz

— A! więc to panna Cambart zafundowała sobie ten wspaniały bukiet?

— Tak... dzisiaj właśnie

— To odtąd codzień będę jej przysyłał kwiaty.

— O! to jej sprawisz wielką przyjemność, bo ona nie śmiała prosić cię o to – dodał ojciec, jak najdobroduszniej.

Cezar też zachował najzupełniejszy spokój, słuchając kłamstw giełdzisty. Teraz znał już całą prawdę, jakiej pożądał od użytego fortelu.

— Skoro ja się nie przyznałem, że ten bukiet pochodzi odemnie, przysłanie jego przypisują komu innemu.. a tym kim innym jest niezawodnie Barantel — pomyślał.

Cambart jednakże nie uspokoił się jeszcze widocznie, ponieważ podchwycił głosem jeszcze niepewnym:

— Ale . co do Krapiszetki... czy dawno się z nią widziałeś?

— O! wieki całe! — odpowiedział Cezar, który, pod mimowolnym wpływem podejrzeń, uważał za stosowne zataić prawdę.

— O! — rzekł giełdzista tonem, który pomimo chęci jego, zdradzał pewne zadowolenie.

Poczem, po krótkiem milczeniu, dodał:

— A dziś z pewnością nie będziesz należał do lancknechta? Mógłbym się o to założyć.

Zwykle Cambart pierwszy podniecał Desormeauxa do wszelkich szaleństw.

Tym razem młodzieniec, skoro wydało mu się, że obawiają się jego towarzystwa, odparł:

— A czemużbym nie poszedł? Czy sądzisz, że dlatego, iż mam się żenić, powinienem się wyrzec wszelkich przyjemności... Ostatnim razem wygrałem sporą sumę od Jurassieauxa, to powinienem teraz dać mu sposobność, ażeby się odegrał.

— Brawo! ani wiesz, jaką mi sprawiasz przyjemność! Jużem się bał śmiertelnie, że stracę w tobie dobrego koleżkę, ale teraz widzę, że to inaczej

Śmiech, jakim finansista zakończył to zdanie, odezwał się fałszywie, a jeszcze nie ustał, gdy drzwi od salonu otworzyły się, a w nich ukazała się kobieta czterdziestoletnia, szczupła i wysoka.

— Panno Boldain, czy Gabrjela nie prędko jeszcze będzie gotowa? — spytał ojciec.

— Idzie już za mną, panie Cambart — odpowiedziała kobieta, która była właśnie nauczycielką młodego dziewczęcia.

W istocie Gabrjela weszła natychmiast do salonu.

Wyglądała uroczo w eleganckiej bogatej sukni, której możnaby tylko to zarzucić, że nie była odpowiednią dla młodej panienki.

Zaledwie się ukazała, gdy ojciec, nie dając jej czasu do przemówienia, zawołał ze śmiechem.

— Bardzo przybywasz w porę, bo przyłączyć się możesz do wyrzutów, jakie czyniłem naszemu drogiemu przyjacielowi Cezarowi, który ani się domyślając, że pewnie, jak każda kobieta, lubisz kwiaty, pozwala ci wypróżniać portmonetkę dla kupna bukietów, które powinnabyś zawdzięczać jego grzeczności.

Jeżeli to ostrzeżenie zostało odgadnięte przez Gabrjelę, to również zrozumiane było przez Desormeauxa.

— Do djabła! — pomyślał — Cambart więc nie chce, aby się topiła, a sam jej odrazu rzuca linę ratunkową. Uprzedza ją, że bukiety przysłał jej Barantel, ażeby usprawiedliwiła wobec mnie obecność kwiatów... zobaczymy, jak ona sobie da z tem radę.

Z tym ukłonem, który młodzieniec zakochany, uważał dotychczas za lękliwość, panna Cambart odpowiedziała, zbliżając się do bukietu:

— O! nieznośny z ciebie gaduła, mój ojczulku, dlaczego pozbawiłeś mnie okazji dania nauczki panu Cezarowi, którą sobie obiecywałam, kupując ten bukiet

Mówiąc to, wyjęła z pęku kwiatów różę i podała ją swemu konkurentowi.

— Masz pan tę różę! — rzekła z uśmiechem — skoro teraz taka już moda, że panie muszą kupować kwiaty, które powinny dostawać od panów.

— Masz, mój Cezarze, na coś zasłużył! — zawołał papa, klaszcząc w ręce. (C. d. n.)

UKRYTE MILJONY.

POWIEŚĆ Z KRAJU BOERÓW

z angielskiego

H. J. Rosny.

(Ciąg dalszy).

Pan Chevrot powstał i czekał na syna, ażeby wyjść razem. Ale Jan nagle zawołał:

— Marcjalu, ja pojadę z tobą... Zaklinam cię w imię naszej przyjaźni, nie odmawiaj mi tego. Obecność moja przyda ci się.

— Janie! — zawołał pan Chevrot przestraszony.

— Proszę cię na wszystko, Marcjalu. Nie mogę tu pozostać, bo zmarnieję ze zgryzoty. Tymczasem przebywanie wraz z tobą, podzielanie twych myśli, trudów, niebezpieczeństw, zjedna mi przywiązanie Augustyny i będzie dla mnie łaską Opatrzności. Marcjalu, bracie kochany, weź mnie z sobą!

Wzruszony Marcjal zwrócił się do pana Chevrot i zapytał:

— Cóż pan na to?

— Nie pozwolę mu popełnić tego szaleństwa. Jeżeli zdaje mu się, że zastraszy mnie, to się myli.

— Nie mam zamiaru zastraszać cię, ojcze, lecz uczyniłeś mnie nieszczęśliwym. Otóż nieszczęśliwi, nie mogą znaleźć spokoju dla serca i myśli, potrzebują zmiany miejsca, otoczenia.

— Nie cofnę tego co powiedziałem — gniewnie odrzekł pan Chevrot.

— W takim razie Marcjal zabierze mnie z sobą.

— Nie usłuchasz mnie?

— Proszę ojca, mam dwadzieścia cztery lat. Będę zawsze posłuszny twej władzy, lecz niech nie będzie ona tyrańską. Jedno z dwojga: albo wyjadę, albo zaślubię Augustynę.

— Więc jedź!

Żałował wkrótce swych słów, lecz wrodzony upór nie pozwolił mu ich cofnąć. Jan przyrzekłszy zobaczyć się z Marcjalem nazajutrz, wyszedł wraz z ojcem.

Marcjal wracając do swej pracowni przez ogród, usiłował odnaleźć ślady gości nocnych, którzy przerwali mu jego pracę. Dostrzegł stratowane krzewy. liczne odciski stóp na ziemi, zresztą świeżo opadnięty tynk z muru był niezbitym dowodem ich najścia. Przystawił drabinę do muru i na wierzchołku jego, najeżonym kawałkami szkła, dojrzał plamy krwawe. Widocznie jeden z owych gości zranił się i wtedy to wydał słyszany przez Marcjala krzyk bolesny.

X

Następne dwa dni Marcjal samotnie przepędził w bibljotece. Trzeciego dnia rano udał się do swej pracowni i znowu przez cały tydzień pracował nad jakiemś dziełem tajemniczem, o którem ani słowem nie wspomniał nikomu. Augustyna kilkakrotnie przez ten czas ze swego okna widziała go zajętego pracą w laboratorjum. Niepokoiła się o jego zdrowie, lecz nie chcąc czynić mu uwag, lub pytać o rodzaj pracy, cierpliwie oczekiwała zwierzenia z jego strony.

Gdy pewnego dnia zaniosła do laboratorjum kilka przybyłych z Holandji listów, Marcjal zapytał ją:

— Kochana siostrzyczko, masz wolny czas? Rozwiązałem już zagadkę, która mnie tak zajmowała. Wkrótce nadejdzie i Jan, którego prosiłem o przybycie.

Uradowana Augustyna usiadła przy stole założonym papierami, Marcjal porządkował dokumenty, gdy wreszcie nadszedł młody Chevrot:

— Kochany Janie — rzekł Marcjal — ponieważ pragniesz towarzyszyć mi, słuszną więc jest rzeczą, bym powiadomił cię o wielkiem znaczeniu tej wyprawy.

— Wysłucham chętnie, lecz nie wymagam objaśnień. Chcę być ci użytecznym bez względu na rodzaj przedsięwzięcia.

— W ostatnich dniach doszedłem do przekonania i uprzedzam cię o tem, że wyprawa ta będzie nie zupełnie pokojową. A ponieważ i inni będą usiłowali przywłaszczyć sobie nasz majątek, więc postanowiłem bronić go energicznie.

— Nasz majątek? — zapytała Augustyna.

— Tak. Domyślasz się zapewne, że chodzi o tajemniczą zawartość owej słynnej skrzynki, stojącej na szafie bibljotecznej. Znalazłem w niej listy, stwierdzające nasze niezaprzeczone prawo do majątku, o istnieniu którego znalazłem wskazówki w bibljotece. Mam nadzieję majątek ten odzyskać. Lecz powinienem wyjaśnić sprawę od początku.

— Słuchamy cię.

— Podczas krwawej epoki prześladowań religijnych za Karola IX., jeden z naszych przodków, Juljusz Ludwik Avincourt został zamordowany. Był on dobrym katolikiem, lecz prawdopodobnie miał nieprzyjaciół, którzy skorzystali z burzliwych czasów. Synowie jego, pragnąc pomścić go, przyjęli religję reformowaną. Nazwiska ich często można napotkać w ważniejszych wypadkach owej epoki. Wszelako, nie zdaje się, ażeby linja protestancka od samego początku zerwała stosunki z linją katolicką. Dopiero w wieku XVII. Thélenowie de Noville, powołani do służby królewskiej, osiedli w Paryżu, gdy tymczasem Thélenowie Avincourtowie, usunięci od urzędów, poświęcili się przemysłowi emalierskiemu, bardzo wówczas kwitnącemu i pozostali na prowincji.

„Obszerna korespondencja zaświadcza o istnieniu stosunków Novillów z Avincourtami i ich dziećmi, w połowie XVII wieku. Warto, Augustyno, byś kiedy przeczytała te listy. Na teraz wystarczy sama wzmianka o nich.

„Gdy w roku 1685 Ludwik XIV odwołał słynny edykt Nantejski, rozpoczęły się straszne prześladowania religijne. Avincourtowie, pomimo poparcia Novillów, nie mogli uchronić się od nich. Widząc zagrożoną swą wolność, majątek i życie, opuścili Francję. Wiadomo wam z historji, że przeszło trzysta tysięcy protestantów poszło za ich przykładem.

„Była to jednak rzecz dość trudna. Król siłą powstrzymywał wychodźtwo protestantów i konfiskował ich majątki; należało używać podstępów. Ryszard Avincourt, jeden z najsławniejszych emalierów w Limoges, zrealizował powoli swój ogromny majątek, zdołał przedostać się do Holandji, zkąd z całą rodziną swoją odpłynął do przylądka Dobrej Nadziei, stanowiącego wówczas kolonję rzeczypospolitej Batawskiej, a raczej bardzo ożywiony port, w nim bowiem prowadzące z Indjami handel statki holenderskie zaopatrywały się w żywność.

„Oto listy Ryszarda i jego brata Tomasza, pisane z owych krajów odległych do Małgorzaty i Henryka de Noville, naszych przodków w linji prostej.

Powiedziawszy to, podał Augustynie i Janowi listy Tomasza i Ryszarda Avincourtów. Po przeczytaniu ich Augustyna zapytała:

— Więc ów Cielec złoty jest wprost majątkiem. o którym mówią w tych listach?

— A tak.

— Ale jakim sposobem zdołasz go odszukać, jeżeli rzeczywiście został zakopanym?

— Chyba — dodał Jan — że posiadasz jeszcze jakie inne papiery?

— Nie posiadam żadnych — odrzekł Marcjal — ale mam nadzieję odszukać te skrzynie.

Po tych słowach wręczył siostrze list.

— Cóż to jest takiego?

— To odpowiedź korespondenta holenderskiego na moją prośbę o udzielenie mi wskazówek.

List zawierał w sobie co następuje:

„Szanowny Panie!

„Stosownie do życzenia Pańskiego, wyrażonego w liście z dnia 21 października, rozpocząłem poszukiwania rodziny Van Reuthów, lecz nikogo, noszącego to nazwisko, nie znalazłem w Rotterdamie. Starsi ludzie pamiętają, że żył tam niegdyś pewien bankier Van Reuth, który pozostawił po sobie liczne potomstwo. Na nieszczęście rodzina ta rozproszyła się i nie zajmuje się dziś handlem. Użyłem więc środka, dość powszechnego u nas i ogłosiłem w dziennikach, że proszę bezpośrednich potomków Van Reutha z Transwalu o przysłanie mi swego adresu. Otrzymałem trzy odpowiedzi, powiadamiające mnie o istnieniu trzech osób mianowicie w Antwerpji, w Harlemie i w Breda. Wszyscy trzej, prawdopodobnie w nadziei otrzymania sukcesji, zapewniają że pochodzą od owego transwalczyka. Przesyłam panu ich listy wraz z życzeniem odkrycia osoby poszukiwanej".

— Lecz nie rozumiem, zkąd wziąłeś to nazwisko Van Reuth?

— To wymaga wyjaśnienia I ja z początku błąkałem się w domysłach, gdyż listy Avincourtów nie odkrywały zagadki całej, lecz tylko jej część...

— Mówiłeś, że nie posiadasz żadnego innego dokumentu, odnoszącego się do tej zagadki — wtrącił Jan.

— Nie posiadałem dokumentu bezpośredniego, to prawda. Jedną z największych trudności w mych poszukiwaniach było odkrycie powodów, wyjaśniających brak papierów innych, zwłaszcza ostatniego listu, zapowiedzianego przez Ryszarda Avincourta. Powodem tym była tylko Rewolucja 1789 roku.

— Rewolucja!

— Tak, Rewolucja... Rzeczywiście, w ciągu poszukiwań przekonałem się, że jeden z naszych dziadków stryjecznych, człowiek rozległej nauki i wielkiego serca, zdołał zebrać wszystkie dowody, odnoszące się do Złotego cielca. Zginął on pod gilotyną w lipcu 1793, lecz na kilka dni przed aresztowaniem przedsięwziął wszelkie środki, ażeby ważny ten sekret przekazać pozostającym przy życiu członkom swej rodziny lub ich potomkom. Wszelako po jego śmierci wskutek jakiejś okoliczności, niektóre papiery zginęły, ułożony zaś przez niego porządek innych został zmieniony, gdyż sekret nikomu do dnia dzisiejszego nie był znany.

„Pradziadek nasz, jak wiadomo wam od ojca, domyślał się go, lecz nie zdołał odkryć. Tajemnica, jaką otaczał swe poszukiwania, fałszywa ich metoda, wreszcie obłąkanie, odstręczyły jego potomków od dalszych badań. Wszyscy domysł ten nazywali urojeniem, chimerą.

„Otóż Hugo Thélen, za pomocą genjalnego środka przechował czytane przez was papiery, ażeby pobudzić ciekawość osób, którym wpadną w ręce, ale dokument główny ukrył w bibljotece.

— Wszak powiedziałeś, żeś nie posiadał innego dokumentu?

— Dlatego, że dokument, o którym mówię, nie miał formy dokumentu pisanego...

— Więc jak odkryłeś go?

— Drogą rozumowania. Mając w rękach znane już wam listy, nie trudno mi było po przeczytaniu ciekawych papierów Hugona Thélen domyśleć się, że autor ich żyjąc w epoce Rewolucji, w czasach niebezpiecznych, był zmuszony użyć bardzo zręcznego środka dla zabezpieczenia swego sekretu. Oto rękopis, który wyjaśnił mi tajemnicę.

Rzekłszy to, podał Janowi i Augustynie traktat Hugona o jego badaniach geologicznych. Ci napróżno przeglądali go i nie mogli zrozumieć.

— Jeżeli nie ma do tego klucza — rzekł Jan — to niepodobna dopatrzeć się związku z tą zagadką.

— Rękopis ten jest nie cały, to tylko przedmowa. Klucza nie ma.

— Nic a nic nie rozumiem — rzekł Jan.

— I ja również — dodała Augustyna.

— Dowodzi to wielkiej ostrożności i zręczności stryja Hugona. Więc ażeby objaśnić was, dodam, że w poszukiwaniach poprzednich odkryłem na czystych kartkach książek napisy złożone z liter i cyfr i sądząc, że oznaczają one dawniejszą klasyfikację tomów, układałem je według tego porządku, lecz nie doszedłem do żadnego rezultatu. Dopiero po odczytaniu tej przedmowy i kilku ustępów odnoszących się do

jego metody, spostrzegłem ścisły związek pomiędzy owemi napisami a przedmową do dzieła Hugona.

— Zaczynam domyślać się — rzekła Augustyna.— Zastanawia mnie tylko, że przyszła ci taka myśl. Choćbym sto razy odczytała tę przedmowę, nie dostrzegłabym jej związku z bibljoteką.

— To tylko cecha umysłu, rozwaga i metoda.

— A więc przedmowa wskazuje porządek, według którego napisy na kartkach można ułożyć w tekst notatki?

— Tak jest. Lecz zestawiając je, spostrzegłem, że Hugo i pod tym względem utrudnił zrozumienie, gdyż zaczął od środka bibljoteki i od góry ku dołowi tak, że osoba nie domyślająca się niczego, nigdy nie zdołałaby odkryć sekretu.

— Nie mówiąc już o tem, że potrzeba było długo błąkać się ażeby odszukać część środkową i podnieść ją do wysokości, na której przerwane warstwy utworzyły szeregi właściwe.

— Ta część poszukiwań była już zabawką w porównaniu z poprzedniemi.

— Zwarjowałabym jak mój pradziadek — rzekła Augustyna — i nic nie odkryłabym.

— Nakoniec bibljoteka przemówiła i oto co mi opowiedziała.

Marcjal wyjął z pugilaresu parę listów i odczytał je:

„Kochany kuzynie!

Przybyliśmy nareszcie do niedostępnych wąwozów gór Sneeuwbergen. Ledwie żyję z utrudzenia. Byliśmy ciągle trapieni przez Buszmanów, których zatrute strzały groziły nam w dzień i podczas nocy. Na szczęście, huk strzałów z naszych strzelb wywoływał w nich zabobonny przestrach i trzymał w oddaleniu. Holendrzy, biorący udział w naszej wyprawie, zaczynają szemrać.

. . . .

„Zdobyłem się jeszcze na odrobinę siły, ażeby przesłać tę ostatnią wskazówkę. Dosięgliśmy płaskowzgórza bardzo wysokiego, które z powodu pokrywających go śniegów, nazwaliśmy Lilienberg. Zimno dokucza nam mocno. Nasi towarzysze holendrzy postanowili nas opuścić. Zdaje mi się, że zjednałem sobie zaufanie jednego z nich, Feliksa Van Reutha, brata mojego posłańca poprzedniego. Dzielny ten chłopak, niezadowolony z ostatniej wyprawy, pragnie powrócić do Holandji.

. . . .

„Holendrzy opuszczają nas. Mój brat i bratańcy szaleją z radości. Być może, że pochód ich trwać będzie jeszcze kilka dni. Ale trudności dalszego posuwania się, zdaniem wszystkich, zmuszą ich zwrócić się ku płaskowzgórzu, położonemu na północy. Powierzam mój dokument Feliksowi Van Reuth. Żegnam cię, Francjo, kraju ukochany

Ryszard".

. . . .

„Ukochany kuzynie. Dzięki zegarkowi mojemu, wskazującemu godziny według południka paryskiego, zdołałem oznaczyć geograficzną długość miejsca. Postaram się, choć jestem bardzo osłabionym, oznaczyć za pomocą mego sekstantu wysokość bieguna...

. . . .

„Umieram... 22° 36' 6''

Żegnam cię".

— Do tych dwóch listów dołączoną była następująca notatka Hugona.

„Można przypuszczać, że istnieje jeszcze jeden lub nawet dwa listy Ryszarda. Były one przejęte albo przez Van Reutha, albo przez anglików. I rzeczywiście roczniki marynarki wzmiankują o nieprawnej rewizji powracajacego z Kapsztadu okrętu holenderskiego przez anglików. Kapitan holenderski skarży się, że między innemi rzeczami skradziono mu papiery, a dla dodania ważności swej skardze dodaje, że były to ostatnie pożegnania wychodźcy ze swą rodziną. Dowody te podawały zapewne i szerokość geograficzną".

Po odczytaniu tych listów nastąpiło dłuższe milczenie. Augustyna i Jan byli odurzeni tak niespodziewanem i ważnem odkryciem.

— Więc — rzekła w końcu Augustyna — starałeś się odszukać tego Van Reutha, ażeby poznać szerokość geograficzną.

— Nietylko dlatego, lecz nadto, ażeby się dowiedzieć, czy nie czynił już kto w tamtą okolicę jakiej wyprawy.

— A ten anglik, o którym mówił twój ojciec? — zapytał Jan.

— Anglik napewno nic nie odkrył, gdyż usiłował wedrzeć się do bibljoteki, ażeby pochwycić dokument, wzmiankowany prawdopodobnie w jego dokumencie.

Poczem Marcjal opowiedział o wizycie nocnej.

— Chętnie towarzyszyłbym ci w każdej wyprawie — rzekł Jan — ale w tej pragnę przedewszystkiem. Mamy wiele szans powodzenia.

— Ile wam ona zajmie czasu? — zapytała Augustyna.

(C. d. n.)

BĄDŹ PRZEKLĘTĄ!

SZKIC

Stanisławy Hausnerowej.

U mojej kolebki stanęłaś — o promienna, o nieśmiertelna!

Nad czołem twojem błyszczał świetlisty djadem, z oczu płynęły iskier strumienie.

Oblicze twe o przeczystych liniach jaśniało dumą i radością, gdyś na dziecięce moje czoło kładła twe ręce liliowo białe.

Uśmiechnęły się do mnie twe dumne i ponętne usta — jam na ten uśmiech odpowiedział uśmiechem i... stało się.

Odtąd już stałem się twoją własnością, twoją rzeczą, twoim niewolnikiem.

Nie miałem już woli, tylko twoją, nie miałem pragnień, tylko twoje, nie miałem myśli, tylko twoje.

I ty kierowałaś krokami niemowlęctwa mego, zapalając czasem w dziecięcych mych oczach takie iskierki, które obawą i podziwem napełniały obecnych.

Później, gdy się dusza moja budzić poczęła, wkładałaś w nią po jednemu wszystkie promienie swej korony świetlistej, aby sobie z niej godny siebie uczynić przybytek.

Lata me młodzieńcze wzięłaś zupełnie na swoją własność, i z bezwzględnością despoty rządziłaś niemi, pochłaniając wszystkie uczucia i porywy mego serca, którem chciałaś władnąć niepodzielnie.

Nie wolno mi było kochać tych, którzy życie mi dali, ani tych, z którymi łączyły mię węzły krwi lub ducha. Nie wolno mi było oddać się żadnemu uczuciu, żadnej roskoszy, bo wtenczas ty stawałaś przy mnie, w całym blasku twego królewskiego majestatu, i kładąc twe świetliste ręce na oczarowane oczy moje, szeptałaś namiętnie: tyś mój, mój, mój!

A ja wtenczas rzucałem wszystko, rodziców, przyjaciół, kochankę i wyciągając ku tobie drżące ramiona, dałem się wieść ślepy, niemy, bezsilny do królestwa ducha twego.

W takich chwilach ludzie smutno kiwali głowami, i z politowaniem wymawiali wyraz, który piętnem ognistem wypaliłaś na mojem istnieniu. Zbliżały się lata namiętnego tryumfu twojej nademną władzy.

Wtenczas, wśród dusznych, bezsennych nocy, spływałaś ku mnie po księżyca promieniach, i gorącem twem tchnieniem zapalałaś ogień natchnienia w opętanej przez cię duszy mojej.

I po słońca blaskach spływałaś ku mnie, a ja zawsze bez szemrania spełniałem rozkazy twoje.

Za tę moją wierną tobie służbę, wynagrodziłaś mię po królewsku, o promienna! Upoiłaś mię sławy odurzającym czarem, i deszcz złoty rozesłałaś u moich stóp.

I żyłem z łaski twojej jako bożek syt sławy i wygód, a wtenczas już nie z politowaniem, lecz ze czcią ludzie powtarzali wyraz twojego świętego namaszczenia.

Ale przychodziły i takie chwile, gdzie opuszczałaś mię, o promienna, a wtenczas goryczą poiły mię dary twoje. Z wściekłością deptałem klejnoty, zdobyte przez zaprzedanie ci mojej duszy.

Chwile takie w epoce mego największego rozkwitu, a twego tryumfu, zaczęły mię coraz częściej nawidzać; im więcej darów słałaś pod moje stopy, tem obojętniejszem witałem je okiem. Aż wreszcie dusza moja zapragnęła wydostać się z pod tego, ciężącego jej jarzma ..

Było to w owej porze, gdy wyczerpany pracą, pod szafirowem niebem południa, szukałem odpocznienia.

Tam zobaczyłem moją piękną, moją białą, i pokochałem ją całą siłą mego marzycielskiego serca — znalazłem wzajemność i przywiozłem ją, jako wybraną i ukochaną żonę do mego cichego domu. I wtenczas zdawało mi się, że się już wyzwoliłem z pod twojej władzy, z radością chyliłem głowę pod berło słodkiej kochającej mię żony.

A było mi wtenczas dobrze, zacisznie i ufnie, jak nigdy w życiu — nie paliły mnie już ognie twoich oddechów, nie drażniły ponęty twego czaru, byłem zdrów.

Życie nasze, jak sznur pereł, składało się z

dni jednako równych i słonecznych, a po każdym dniu takim przepełniony wdzięcznością, chyliłem rozmarzoną mą głowę do stóp złotowłosej czarodziejki mojej.

Pracownia moja była zamkniętą, bo widok tej wielkiej wzorami klasycznej sztuki ubranej sali, przerażał moją panią, która stanąwszy na jej progu, jakimś zobobonnym strachem zdjęta, tuliła się do mnie, i nigdy się do niej wprowadzić nie dała.

Pracowałem w jej małym, niebiesko-białym buduarku, a przedmiotem moich studjów była ona, wyłącznie ona.

Raz malowałem ją jako średniowieczną damę, w aksamit strojną i klejnoty, raz w powiewnej nimf szacie, raz w klasycznym greczynek stroju, raz w płaszczu złocistych jej włosów.

Były to ładne obrazki, ale ludzie przechodzili obok nich obojętnie, chwaląc tylko piękność modelu.

Nigdy moje dzieła tak obojętnem nie były witane okiem, nigdy, bo wtenczas tyś nie była przy mnie! Ale powoli stawały mi się te dnie zbyt długie i jednostajne, ściany buduarku ciasne i duszne, i jednego dnia opanowany tęsknotą ku tobie, rozerwałem białe ramiona, opasujące mi szyję i rozwarłem podwoje pracowni.

Tu zastałem wszystko tak, jak było w dniach twoich najpromienniejszych natchnień i mego bolesnego szczęścia, którego pragnąłem i nienawidziłem. Na środku pracowni w promieniach twej aureoli, w blasku twego królewskiego majestatu, stałaś smutna i milcząca.

Ja na twój widok zapomniałem o chwilach mego cichego szczęścia, o tym błogim spokoju, jaki wniosła w moje życie ta cicha, jasnowłosa, kobieta, o tych wzruszeniach duszy i upojeniach zmysłów, jakie jej zawdzięczałem i drżąc z radości, ku tobie wyciągnąłem ramiona.

I poczułem w duszy srogie wyrzuty, cała moja przeszłość stanęła mi przed oczami.

Widziałem dzieciństwo i młodość moją, oświecane blaskiem twoich promieni, mój wiek męski na twojem łonie prześniony i ozłocony klejnotami twoich darów.

Wszystko, co mam i czem jestem, zawdzięczam tobie, a dziś, gdy mi drogę życia różami wysłałaś, gdy bez trudu pozwoliłaś mi owoc jego zrywać, ja niewdzięczny skarby twoje składam u stóp tej kobiety, której jedyną zasługą jest jej piękność i miłość.

To wszystko w owej chwili wyznałem tobie, o promienna, a ty kładąc świetliste twe ręce na oczarowane moje oczy, szeptałaś namiętnie: tyś mój, mój, mój!

Od owej chwili wzięłaś mię znów pod panowanie swoje, ale jeszcze bezwzględniej i despotyczniej. Nie pozwoliłaś mi już na jedno poruszenie serca, ani na myśl jedną, którejbyś ty nie była przedmiotem.

Spływałaś ku mnie po słońca blaskach i księżyca promieniach i rządziłaś mojem życiem, jak samowładna królowa.

Teraz coraz częściej i coraz brutalniej wyrywałem się z objęć słodkich żony mojej, aby iść za tobą.

Ty w zamian za to oddanie się tobie, zapalałaś w mej duszy coraz nowsze i promienniejsze iskry natchnienia.

I doprowadziłaś mię do szczytu sławy, której kadzidłem odurzałaś myśli moje i usypiałaś wyrzuty.

Tyś mi zamykała oczy na wyraz bezdennego smutku, z jakim witała mię moja biedna, opuszczona żona.

Tyś mię z jej objęć porywała w wir twoich orgii, skąd powracałem piany szałem i winem, i rozpustą spiekłe wargi chłodziłem pocałunkiem ust mojej świętej...

Nie słyszałem nigdy z ust tych słowa skargi, ni wyrzutu, nie broniły mi one kalającego je pocałunku, tylko w takich chwilach drgały boleśnie, a wielkie, srebrno-błękitne oczy odbijały niemą rozpacz jej duszy.

Tyś mię uczyniła ślepym na to, że oczy te coraz ciemniejszą podkrążają się obwódką, że róże rumieńców gasną, a miękie kontury jej młodziutkiego ciała, coraz ostrzejszemi zarysowują się liniami.

Kończyłem właśnie największy i najsilniej pięknem geniuszu tryskający obraz.

Przedstawiał on męczeński zgon młodej dziewicy chrześciańskiej na rzymskiej arenie.

Model dziewicy miałem w domu, bo czyż nie była ona apoteozą męczeństwa? nie byłaż ona we wszystkich liniach i tonach klasycznego jej ciała?

Tylko wyrazu oczu było mi brak; gdy leżała na dywanie u stóp mej sztalugi i rozkochanym wzrokiem śledziła wszystkie moje poruszenia, był w nich tylko wyraz anielskiej tkliwości i cichego rozradowania.

Ty, o promienna, byłaś wtenczas zawsze

przy mnie, prowadziłaś rękę, kierowałaś myślami.

Malowanie tego obrazu zajęło cały mój czas i wszystkie władze mego ducha. Dla świata zewnętrznego byłem ślepy, głuchy i zupełnie nieczuły.

Było to najwyższe stadjum twego nademną panowania.

I dla tego stało się to, co się stać musiało

Moja żona stawała się codzień bledszą i przeźroczystszą, lekarz wysłał ją na południe, na co się zgadzałem, prosząc tylko o zwłokę dla dokończenia obrazu. Do ostatnich posiedzeń musiałem wziąć płatną modelkę, bo ona nie opuszczała już łóżka.

Obraz postępował i zadziwiał codzień więcej odwidzających mię znawców, którzy już wówczas bajeczne ofiarowywali zań ceny.

Tylko twarz dziewicy wykończyć, a oddam go wam... powtarzałem codziennie. Aż pewnego dnia zawołano mię od pracy do łoża chorej żony.

Przyszedłem, leżała bardzo zmieniona, z wypiekami gorączki na kredowo bladej twarzy. Klasyczne jej ciało wyprężało się w kurczach agonii, a w srebrno błękitnych oczach odbijał się wyraz śmiertelnej trwogi.

Na mój widok wyraz ten złagodniał na chwilę, a wychudłe ramiona wyciągnęły się ku mnie miłośnie.

Ale spotkawszy się z moim wzrokiem, cudne te oczy przybrały wyraz takiego przerażenia i rozpaczy, że odczuwając boleść tego konającego serca, przejęty litością i skruchą, rzuciłem się na kolana.

„To twoja ofiara“, mówiło sumienie. — Na to ty przyszłaś, na moich rozpalonych skroniach położyłaś chłodne dłonie i szeptałaś: patrz, patrz, patrz!

Ale zagłuszyły się we mnie wszystkie wyrzuty, ból i litość, nie słyszałem już jęków umierającej, nie odczuwałem rozpaczy, z jaką badała moje oziębłe rysy, i patrzałem, patrzałem, patrzałem...

I widziałem, jak cudne, klasycznej czystości jej ciało, wyprężało się, nabierając sztywności marmuru i siwawo białych tonów. Widziałem, jak te same tony błąkały się po sztywniejących rysach, a błękitne oczy traciły swe srebrzyste blaski. A był w nich ciągle ten sam straszny wyraz, który zdawał się mówić:

„Dałam ci wszystko: i pierwsze uczucie mego niepokalanego serca, i wielką ufność i nieskończoną słodycz, która wszystko przebacza, i bezmierną pokorę, która wszystko przecierpi i nic dla siebie nie żąda. A ty wziąwszy to wszystko, wziąłeś i młodziutkie moje życie, z którego chętnie złożyłabym ci ofiarę, gdybyś choć raz jeszcze w tej strasznej godzinie skonania mego, popatrzył na mnie z miłością i żalem“.

I widziałem, jak się te konające oczy wytężają, jak się pasują z opanowującą je sztywnością, aby się doczekać tej ostatniej pociechy.

I czułem, jak pod tem spojrzeniem dusza moja topnieje, chciałem się rzucić na tę umierającą, rozgrzać ją swym oddechem, tchnąć w nią mego ducha, siłą zmartwychwstającej miłości, ale ręka twoja mię wstrzymała.

Chodź, rzekłaś, już wszystko skończone...

Gdym oczy moje na nią podniósł, już w jej rysach iskierka życia zagasła, — były zimne i martwe.

Wtenczas wzięłaś mię za rękę, powiodłaś do mego obrazu, „kończ“, rzekłaś — i prowadziłaś moją rękę, kierowałaś myślami, i dopomogłaś ukończyć największe dzieło geniusza, jaki we mnie tchnęłaś.

I dzieło moje poszło w świat, budząc podziw i uwielbienie, i przyniosło mi nieśmiertelnej sławy i złota blaski.

Ale ja dziś, stojąc nad świeżym grobem tej świętej męczennicy mojej, już się twemi blaskami nie upajam. — Gardzę zimnymi klejnotami, zdobytymi za cenę jej krwi gorącej, i nie mogąc stłumić bolu, rozdzierającego mi serce, wołam:

Ty, która uczyniwszy mię kapłanem swego kultu, całe me życie zagarnęłaś w swoje szpony, i stojąc ciągle przy moim boku, wydzierałaś mi wszystkie ludzkie uczucia...

bądź przeklętą, przeklętą, przeklętą!

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.